

KRONIKA LWOWSKA.

(Cztery pory roku w jednym tygodniu — Rokowania polityczne. — Repertuar teatru. — Pan Solski. — Piekące sprawy. — Kwestya bytu. — Kwestya bluzek. — Odczyty pani dra Nossig).

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu każdego dnia wszystkie cztery pory roku: wiosnę, lato, jesień i zimę, a nadto kilka pośrednich, skombinowanych. Pomimo, że dzienniki tutejsze całkiem seryo oburzały się na tę kwietniową niepogodę, kwiecień figlował kilka razy dziennie, wyrządzając dużo ambarasu cierpliwym mieszkańcom.

Trzy lub cztery razy dziennie zmieniamy wie-rzchnią i „tę tamtą“ garderobę, stosownie do pogody lub niepogody i stosownie do tego, czy mamy co zmieniać. Prywatne lombardy szmaciane mają najwięcej do czynienia, gdyż zmuszone są nieraz tych samych klientów kilka razy dziennie obsługiwać, wydając im letnią garderobę i przyjmując zimową, a w dwie godziny później, wydając znów zimową, a przyjmując napowrót letnią. Jednym słowem: ambaras.

Tak tedy witamy prześliczną, galicyjską wiosnę, tę porę poetów i zakochanych kotów, witamy ją zachrypniętymi okrzykami i kichaniem zakatarzonych nosów, kaszlem suchotniczych płuc i poematami natchnionych wieszczów.

Jeżeli pogoda nie szczydziła nam urozmaicenia, to natomiast na zupełny brak urozmaicenia żalić się musi nasz kronikarz, gdy sięga pamięcią o cały tydzień wstecz i szuka sensacyjnych wydarzeń dla zanotowania w kronice. Nie działo się u nas po prostu nic takiego — a gdyby redakcyje naszych dzienników mogły i chciały kierować się sumieniem, nie powinien się być pojawić ani jeden dziennik w ubiegłym tygodniu. Ale tyle nie można żądać... Jedyną sensacją było to, że jednemu z tutejszych dzienników udało się nawiązać rokowania dyplomatyczne z rządem japońskim w Tokio, dzięki czemu możemy — zdaje się — odtąd być całkiem spokojni o naszą przyszłość. Jeszcze spokojniej będzie mógł patrzeć w przyszłość każdy, kto ów dziennik z dniem 1 maja zaprenumeruje. Prenumerata wraz z dwukrotną odstawą do domu wynosi 2 kor. 60 hal. miesięcznie.

To już o wiele taniej można się we Lwowie dorobić innej przyjemności, dzięki nader troskliwej opiece naszego fizykatu miejskiego. W powiecie lwowskim, w gminie Jaryczów nowy, sprawdzono urzędowo epidemję tyfusu plamistego. Otóż nasz fizykat miejski przestrzega w dziennikach publiczność, aby nie kupowała artykułów spożywczych od mieszkańców tej gminy.

Dobrze. Będą tedy odtąd nasze żony, córki, gospodynie i sługi badać na rynku każdego chłopca i każdą chłopkę, czy pochodzą z Jaryczowa, czy nie, a chłopci naturalnie będą zmuszeni informować każdego, skąd pochodzą.

Chyba, że tak. Bo inaczej nie można sobie tłómaczyć mądrego ostrzeżenia fizykatu.

To już łatwiej byłoby na rogatek miejskiej przeprowadzać podobne indagacye i nie wpuszczać wcale chłopów z Jaryczowa, a nie bezmyślnie przestrzegać publiczność.

Natomiast zdarzają się w mieście samem bardzo częste wypadki tyfusu plamistego, a fizykat miejski nie wie o nich wcale, lub nie chce wiedzieć.

A teraz słówko o teatrze. Repertuar: „Małżeństwo na żart“, „Dom na Halickiem“ — „Małżeństwo na żart“, „Dom na Halickiem“.

Jeszcze przedtem mieliśmy premierę H. Bahra: „Majster“, która ogromnie podobala się kobietom zamężnym i niezamężnym. Mężczyznom lepiej przypadło „Małżeństwo na żart“ i chętnie jeszcze dalej chodzą na tę operetkę, ażeby się dowiedzieć, że nietylko w życiu, ale i na scenie bywają zawierane małżeństwa na żart. Co się zaś tyczy sztuki Domnika „Dom na Halickiem“, to powinna mieć u lwowskiej publiczności powodzenie — gdyż akuratnie napisana jest w jej guście.

Wogóle sezon ubiegły nie miał dużego powodzenia materyjalnego, a nawet trzeba się było uciekać do gościnnych występów.

Przyszłość nie zapowiada się lepiej.

Z trzech największych artystów Roman w grobie, Kamiński wędruje po prowincyi, a trzeci i ostatni, który nam został, Solski, idzie, zdaje się, już na *pe* do Krakowa, ażeby objąć kierownictwo naszego teatru. Jest w tym kroku pewna — powiedzmy otwarcie — lekkomyślność. Zawsze lepiej być wielkim aktorem, aniżeli małym dyrektorem. Dyrektor zabije w nim aktora, to więcej jak pewne. A na dyrektora szczęśliwego żaden artysta nie ma szans.



Felicya Stachowicz.

Fot. Bahryniewicz. Lwów.

Pan Solski powinien rozmyśleć się bodaj w ostatniej chwili i zostać we Lwowie.

Drugą piekącą sprawą zaczyna być u nas tak zwana „kwestya bytu“. Jeden z tutejszych dzienników rozpisał ankietę pod powyższym tytułem, dopuszczając do głosu wszystkie interesowane gossposie.

Niech każda napisze, jak prowadzi gospodarstwo — zapytywał ów dziennik — a my to wydrukujemy.

Nie odezwała się żadna. Dopiero redakcyja poszła po rozum do głowy i wydrukowała list własnego konceptu, z podpisem jakiejś nieistniejącej pani Dulskiej, która — nie mając prawie żadnych dochodów, prowadzi sztucznie gospodarstwo przez podnajmowanie mieszkania itp. Zrobił się niesłychany ruch. Mężowie robili wyrzuty żonom, że nie potrafią oszczędzać, że za dużo wydają, że tylko pani Dulka umie oszczędnie prowadzić gospodarstwo itd. Kilkaset małżeństw znalazło się nieomal u progu rozwodu... Teraz posypały się ogniste listy naszych gospodyń, a każdy list ciskał straszne pioruny w stronę p. Dulskiej, wymyślając jej od krętaczek, złodziejek, fałszywych babsztyłów, posadzając ją o oszustwo, fałszowanie monet itd. Redakcyja, zasypana listami, wszystkie tajemnice domowe leżą na biurku referenta „kwestyi bytu“, a p. Dulka ma to jedno szczęście, że wcale nie istnieje na świecie — bo byłyby ją baby rozdarły w strzępy. Znalazły się takie, które pilnie dopytywały się o adres p. Dulskiej, organizując zbrojną, zbiorową wyprawę. Jednym słowem: wojna kobiet. Lada chwila oczekiwane przybycie korespondenta z biura *Reutersa* i z *Timesa*, *Daily Mail*, *New-Yorker Herald* i innych światowych dzienników. Policja zaniepokojona, wojsko wzmocnione, namiestnik uciekł do puszczy niepołomskiej.

Ostaną palącą sprawą jest kwestya bluzek. Nasze panie, idąc za wzorem paryskich i wiedeńskich pań, agituja za zatrzymaniem bluzek, a nie chcą się zgodzić na wprowadzenie w modę sukien całych kostyumowych. Kwestyą tą zaniepokoiły się nasze panie do tego stopnia, że poprosto zapominają o mężach, dzieciach, o wojnie, teatrze, a nawet o przykazaniach bożych, a omawiają ciągle sprawę bluzek. Dzienniki gorliwie im pomagają, mężczyźni zmuszeni są czytać te wszystkie *pro* i *contra* i oto wisi w powietrzu nowa kwestya: bluzki, czy nie bluzki. Jakiś humorysta pisze wiersz pod tyt.: „Bluzki, czy nie bluzki“, Kamiński na najbliższym wieczorze ma deklamować wiersz „O bluzkach“, a p. dr Felicya Nossig, której odczyt „O mężczyźnie i kobiecie“ w sali ratuszowej miał duże powodzenie, zachęcona aktualnością tematu — zapowiada na najbliższą niedzielę odczyt pod tyt.: „Wpływ bluzek na kwestyę ko-

biecą wogólności, a społeczną w szczególności“ z demonstracyami. Bilety już rozkupione, a dwie panie, które odejść musiały bez biletów, popełniły tego dnia samobójstwo — poprawiwszy przedtem w lustrze fryzurę. *Klewe.*

Felicya Stachowicz.

Uczennica słynnej Rakiewiczowej... Po krótkiej wędrowce, debiutuje w Krakowie, jako Hanka w „Panu Damazym“ Blizińskiego i zdobywa odrazu imię pierwszorzędnej artystki. Odtąd stale jest gwiazdą... i to przez lat z górą dwadzieścia. We Lwowie pojawia się jeszcze za Dobrzańskiego, już jako znana, słynna, wielka... Przez długie lata jest jedną z najpoważniejszych sił, a były czasy, gdzie pani Stachowicz była jedyną, istotnie największą artystką. W niektórych komedjach poprosto nieznętną. Jej *Madame sans Gène* równała się z wiedeńską Odilon, a miejscami ją prześcigała. Jej Klara w „Właścicielu Kuźnic“ jest ostatnim wyrazem aktorskiego kunsztu.

Rolą przejmując się, studyje ją gruntownie, a szlachetnie i umiejętnie odtwarza z niezrównaną plastyką.

Lwowska publiczność entuzjasmowała się panią Stachowiczową zawsze i lubi ją dotąd szczerze, pomimo, że stała się niezbyt częstym gościem na scenie. Ta sympatya spotyka panią S. wszędzie, gdzie występowała gościnnie, czy na prowincyi, czy nawet w Petersburgu, dokąd udała się z towarzystwem lwowskiego teatru. Wszędzie budziła zachwyt. Jest to talent znany i uznany tylokrotnie, a bezsprzecznie bardzo duży i cenny. Nadzwyczajna siła ekspresyi, swobodna rutyna i głos nadający się bardzo dobrze do cieniowania i podkreślenia — to główne zalety tego talentu.

Zanotować wszystkie jej role byłoby niepodobieństwem. W każdej ważniejszej sztuce zajmuje miejsce pierwszorzędne. Spróbuję wyliczyć przynajmniej najważniejsze, t. j. te, które w interpretacji pani Stachowiczowej nigdy nie wyjdą z pamięci publiczności teatralnej.

A więc prócz wyliczonych już powyżej: „Zaczarowane Koło“ (młynarka), „Czerwona toga“ (żona Etschepare'a), „Róża Berndt“ (rola tytułowa), „Woznica Henschel“ (Hanka), „Nadzieja“ (narzeczona), „Uriel Acosta“ (Judyta), „Schadzka“ (Julia), „Mąż z grzeczności“ (żona), „Pan Dyrektor“ (żona), „Bergerac“ (Roxana), „Mazepa“ (wojewodzina), „Balladyna“ (Alina), „Lilla Weneda“ (rola tytułowa), „Medor“ (żona) i inne. *KL.*

Kącik humorystyczny.

Nasze dzieci.

Janek:

— Mamusiu, czy dziatwę Muzy też przynosi bocian?

Przykry wybór.

— Nie wiem, co robić? Mam przesłać do agencji małżeńskiej fotografię, a mam tylko takie, na których twarz młoda, ale moda stara, a na nowszych, to znów odwrotnie.

Niespodziane odkrycie.

— Cóż to po wyroku Jacek taki wielki?

— Bo go na czas dwuletni pozbawili prawa i przywilejów, o posiadaniu których nic mu nie było wiadomo.

Logika dziecięca.

Mały Janek (słuchając śpiewaków podwórzych):

— Oni ciągle śpiewają „Dam ci wszystkie skarby świata“ — a potem chodzą do tatki po centa!...

W salonie.

— Słyszała pani, Kisielewski napisał jakąś „Sonatę“?

— Który? Czy ten, co stworzył „Szaloną Julkę“?

— Ten sam.

— Patrz pani, ja nie nie wiedziałam, że on muzykalny.

— Ach, jakże można nie wiedzieć! Przecież on nawet występował w Filharmonii!!

Czelny.

— Panie gospodarzu, wódka ogromnie przypomina spirytus drzewny.

— No, może za dziesięć centów ma przypominać tokaj?